

Eksperyment z ludowym korzeniem

Bogdan Sobieszek: - Dziwne ma pan te gitary...

Marek Kądziela: - Są trochę niekonwencjonalne. W Odpoczno gram na gitarze, którą często można spotkać w country. Do muzyki ludowej to niby pasuje, ale chodzi o coś jeszcze. Ona ma dosyć cichą przystawkę i dźwięk z niej dobrze miksuje się ze skrzypcami. Jazz gram na gitarze, która ma z kolei bardzo silny dźwięk. Mam też instrumenty, które nie mają charakterystycznego brzmienia, ale ono dobrze nadaje się do modelowania za pomocą urządzeń elektronicznych.

Z czego bierze się pana charakterystyczne brzmienie?

- To przede wszystkim pogłos, delay i pedał głośności. Najpierw uderzam dźwięk na gitarze, włączam delay i stopniowo wypuszczam go „volumem”. Dzięki temu dźwięk się łagodnie wylewa. Ustaliam czas jego wybrzmiewania. Stąd biorą się takie dźwiękowe smugi, lejące się tła. Mogę te wybrzmiewające dźwięki „zapętlić”, żeby się powtarzały. Tak kreuję kolejne płaszczyzny muzycznej struktury: najpierw tło lub linię basową, na to wgrywam tła krótsze, na tym gram jakieś szybkie linie melodyczne, a do tego domiksowuję efekty modulacyjne.

Co było wcześniej - jazz czy muzyka ludowa?

- Ojciec zaszczepił mi zamiłowanie do jazzu. Od czasów młodości funkcjonował w środowisku kieleckich jazzmanów - Artur Dutkiewicz, Darek Oleszkiewicz, Włodzimierz Kiniorski to koledzy, z którymi grywał. Ojciec pochodzi z Kamiennej Woli - to wieś pod Opoczniem. Mimo to w jego domu i potem w naszym nie było tradycji kultywowania muzyki ludowej. Ja zacząłem więc grać na gitarze najpierw standardy jazzowe. W pewnym momencie poczułem jednak, a miałem wtedy około dwudziestu lat, że chciałbym spróbować innych rzeczy, wciągnęło mnie bardziej alternatywne, poszukujące myślenie o muzyce. Tę otwartość znalazłem w Danii w The Carl Nielsen Academy of Music w Odense. Tam przekonałem się, że jazz mainstreamowy nie stoi w sprzeczności z myśleniem awangardowym, że te światy można łączyć. Dziś wykonuję standardy jazzowe, swoją muzykę, która łączy wiele nurtów jazzu oraz muzykę ludową z Opoczyńskiego.

Jak pan się z nią zetknął?

- Urodziłem się w Kielcach, ale wychowywałem w Opocznie. Przyjeżdżał do nas Andrzej Bieńkowski, który napisał kilka wspaniałych książek o polskiej muzyce ludowej, także o naszej opoczyńskiej. Przywoził skrzypków i już wtedy wiedziałem - mimo że pochłaniał mnie jazz - że to, co robią, jest niesamowite, ale musiałem jeszcze dojrzeć. Kiedy skończyłem studia jazzowe, pojeździłem trochę po świecie, pomyślałem: „No tak, fajnie gram muzykę afroamerykańską, a jestem z Opoczna. To nie fair”.

Dlatego musiało narodzić się Odpoczno...

- Mieszkałem już w Łodzi. Zajmowałem się muzycznymi eksperymentami z perkusistą Piotrkim Gwaderą. W tym czasie skrzypek grający muzykę ludową Marcin Lorenc (Gęsty Kożuch Kurzu, obecnie Kożuch) szukał nowego projektu i trafił do Piotrka. Tak stworzyliśmy trio - i to Marcin wprowadził mnie w świat mojej rodzimej muzyki opoczyńskiej. Zaczęliśmy ćwiczyć oberki, jeździliśmy do muzykantów. Najdłużej odwiedzaliśmy harmonistę Juliana Jarzaba, który trenował z nami obery. Potem dołączyła do nas śpiewaczka Joanna Gancarczyk z Gęstego Kożucha Kurzu i tak

„czesaliśmy” próby w piwnicy przez dwa lata. Uczyliśmy się tej muzyki dogłębnie, by dotrzeć do jej korzeni. Nie było tak, że mamy parę tematów i przerabiamy je na alternatywę. W tym, co gramy, cały czas miał być autentyczny puls oberkowy.

Tego przede wszystkim uczyliście się od muzyków?

- Gdy przyjechałem do Juliana Jarzaba z gitarą, był zafascynowany. Ale muzycyści często są ludźmi chimerycznymi, a w Opoczyńskim dodatkowo jeszcze bywają nerwowi i ich muzyka też jest taka. Dlatego zdarzały się sytuacje trudne. Julian Jarzab - gra na harmonii trzyczęściowej - uczył nas, aż w pewnym momencie stwierdził, że ma nas dosyć i się skończyło. Wciąż mamy kontakt ze skrzypkiem Stanisławem Wolskim. Jako gitarzyści łatwiej jednak było mi zgrać się z harmonią z racji jej perkusyjności. Łatwiej mi było naśladować frazowanie harmonisty. Jako wykształcony muzyk jazzowy swinguję, a muzyka opoczyńska absolutnie nie swinguje.

Opoczyńskiej frazy da się nauczyć czy trzeba ją poczuć?

- Mówiąc w uproszczeniu, jest to rytm kwartolowy, ale niepoliczalny w metrum na $\frac{3}{4}$. Podchodząc akademicko, nie da się tego ugryźć. Od muzyków trzeba się nauczyć pulsu, który jest organiczny, cielesny i nie jest temperowany.

Co było najtrudniejsze w przenoszeniu gry ludowych skrzypiec na gitarę elektryczną?

- Do uderzania w struny używam kostki, dlatego moja gra jest perkusyjna. Skrzypek przez pociągnięcie smyczka uzyskuje zupełnie inny efekt rytmiczny. Dziś po latach ćwiczeń uzyskanie takiego efektu jest dla mnie łatwiejsze, ale wciąż magiczne.

Jak zatem muzyk jazzowy odnalazł się w repertuarze ludowym?

- Zależało mi na tym, żeby improwizacja gitary posługiwała się językiem oberkowym i wynikała z ducha muzyki opoczyńskiej. Kiedyś Andrzej Jagodziński nagrał płytę z muzyką Chopina, na której improwizował, posługując się językiem Chopina. Ja też postanowiłem improwizować, posługując się rytmiką i melodyką zwartą w tematach ludowych. Nie przychodzi mi to z łatwością.

Pełną wersję wywiadu można przeczytać w majowym numerze „Kalejdoskopu”, który jest dostępny w kioskach Ruchu, Kolportera, Garmond-Press, w salonach Empik, recepcji Łódzkiego Domu Kultury oraz w prenumeracie:

<https://prenumerata.ruch.com.pl/prenumerata-kalejdoskop-magazyn-kulturalny-lodzi-i-województwa-lodzkiego>